

A może to właśnie Stany Zjednoczone są największym zagrożeniem dla Europy...

18 kwietnia 2008

Szczyt NATO w Bukareszcie 2-4 kwietnia zakończył się spektakularną porażką planów rozszerzenia Paktu na wschód (Ukraina, Gruzja) lansowanych przez prezydenta Busha. Nie oznacza to jednak osłabienia pozycji USA i większej samodzielności europejskich członków sojuszu. Mnożą się teksty i raporty dotyczące więzi transatlantyckich i związków ze Stanami Zjednoczonymi. Edouard Balladur [1] w swojej książce wychwala nową równowagę czy wręcz unię Europy i USA w zarządzaniu światowym bezpieczeństwem. No proszę, jakie to łatwe, były premier Francji utożsamia Zachód z demokracją!!

Pięciu emerytowanych generałów, którzy zajmowali wysokie funkcje w Pakcie Północnoatlantyckim, proponuje odnowienie przymierza poprzez stworzenie wspólnego „dyrektoriatu” USA – NATO – Unia Europejska. Ich raport [2] powraca, zresztą nie bez wątpliwości, do takich amerykańskich pomysłów, jak nuklearny atak prewencyjny [3]... Ważny think tank z Brukseli, Security and Defense Agenda (SDA), także próbuje „na nowo przemyśleć” układ między Europą a Stanami [4].

Wszystkie te teksty mają trzy wspólne punkty: świat zewnętrzny stanowi w nich zagrożenie dla NATO (przynajmniej wtedy, gdy o nim wspominają) [5], podczas gdy ideę Zachodu zjednoczonego przez wspólne wartości uznają za oczywistą (w opozycji do globalizacji rozumianej jako chaos); domagają się także rozszerzenia prerogatyw NATO, stwierdzając niemoc zachodnich armii w świetle interwencji w Afganistanie i w Iraku. Jedynie były francuski minister spraw zagranicznych Hubert Védrine dystansuje się od wszechobecnego dobrego samopoczucia [6].

UNILATERALIZM – LEK CZY CHOROBA?

Istnieje jednak pewna kwestia, której nie poddaje się dyskusji. To, jak się zdaje, temat tabu – ale czy w ciągu następnych dwudziestu lat Stany Zjednoczone nie mogłyby stworzyć poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego? Pytanie, choć bynajmniej nie bezzasadne, przerasta ekipę urzędującą obecnie w Waszyngtonie, odpowiedzialną za jedną z największych geopolitycznych katastrof ostatnich piętnastu lat – inwazję na Irak. Może zatem powinno się przynajmniej sprowokować debatę w Europie? Islamski terroryzm i rozpowszechnienie broni masowego rażenia to źródła wielkiego ryzyka. Natomiast godząc się w milczeniu z twierdzeniem, że Stany Zjednoczone są jednym z leków na to zło, z góry wykluczamy, że same mogą stanowić zagrożenie. W ten sposób okaleczamy refleksję na temat europejskiej polityki zagranicznej. Być może amerykański unilateralizm nie zagraża bezpośrednio Francji, ale czy to znaczy, że możemy go lekceważyć?

Znaleźliśmy się w okresie przejściowym. System zmilitaryzowanego unilateralizmu, zdominowanego przez jedyne supermocarstwo, jest sukcesywnie zastępowany przez multilateralizm, który stanowi konsekwencję wyłaniania się nowych potęg (Chiny i Indie, Unia Europejska), rozszerzania listy państw posiadających broń jądrową (Izrael, Pakistan, Korea Północna, wkrótce Iran) oraz niedoboru ropy i surowców. Poza najbardziej oczywistymi zagrożeniami (broń jądrowa i terroryzm), pewne możliwe scenariusze rysują się też w związku z jednostronnymi akcjami wojskowymi (jak akcja USA w Iraku) oraz z konfliktami wokół sprawowania kontroli nad rzadkimi zasobami. A w obu tych przypadkach Waszyngton, podejmując decyzje samodzielnie, może grać rolę destabilizującą.

Specyficzne cechy amerykańskiego unilateralizmu, z którym mamy do czynienia od 1991 r., zintensyfikował szok spowodowany przez zamachy z 11 września. Władza Waszyngtonu przekracza granice klasycznie rozumianej suwerenności i rozciąga się na

cały świat. Obserwujemy unilateralizm o nieznanej do tej pory mocy, szukający swojego uzasadnienia w „uświęconym partykularyzmie” lub „radykałnym mesjanizmie demokracji”.

Oznacza to przede wszystkim odrzucenie wspólnych zasad bezpieczeństwa. Od czasów Billa Clintona amerykańskie władze posunęły się dość daleko – zerwały traktat przeciwko pociskom balistycznym, by wprowadzić program ochrony antyrakietowej; bardzo „elastycznie” stosują konwencję zabraniającą wszelkiej broni biologicznej (pamiętamy historię z września 2001 r. z węglikiem produkowanym przez laboratorium związane z Pentagonem, prowadzące prace nad zastosowaniem tej bakterii w celach wojskowych); odmówiły przewidzianych przez konwencję kontroli, uzasadniając to ochroną tajemnic przemysłowych (lekceważąc ten międzynarodowy traktat, Waszyngton stanął w jednym szeregu z Chinami i Iranem).

Do tego dochodzi odmowa ratyfikacji konwencji zabraniającej stosowania min przeciwpiechotnych, uzasadniana „ochroną amerykańskich oddziałów w Korei” i odrzucenie negocjacji na temat ograniczenia handlu bronią palną pod pretekstem, że czwarta poprawka do konstytucji zapewnia obywatelom prawo do jej posiadania. USA nie przystało też na rozpatrywanie pozwów zbiorowych przez Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK), co zaproponował prezydent Clinton. Kongres posunął się aż do groźby obcięcia subwencji krajom Południa, korzystającym z pomocy amerykańskiego państwa, jeśli nie podpiszą dwustronnego traktatu zakazującego ekstradycji obywateli amerykańskich ściganych przez MTK.

Unilateralizm to także moc decydowania kto, w danej chwili, jest „wrogiem”: Iran, Al-Kaida, itd. W ten sposób narzuca się społeczności międzynarodowej kalendarz „globalnej wojny z terroryzmem” i walki z rozpowszechnianiem broni jądrowej. Przemowa George’a Busha ze stycznia 2002 r. odkrywająca „oś zła” jest tego przykładem. Amerykański prezydent przeszedł bez wahania – i bez związku – od wojny z islamskim terroryzmem odpowiedzialnym za tragedię z 11 września do walki z

rozpowszechnianiem broni jądrowej (trzeba zaznaczyć, że ani Korea Północna, ani Iran nie są podejrzewane o żadne konszachty z Osamą Ben Ladenem). Bush rozwodził się nad listą niebezpiecznych krajów, zaś Izraelowi, Indiom i Pakistanowi przyznał status państw, gdzie broń jądrowa jest „do zaakceptowania”, przyznając w ten sposób, że nie zawsze stanowi ona czynnik destabilizujący.

Unilateralizm oznacza również możliwość samodzielnych działań wojskowych – amerykański budżet obronny stanowi połowę światowych wydatków na zbrojenia. Rozważanie użycia bomb nuklearnych o małym zasięgu (mini-nukes) i przyjęcie zasady wyprzedzającego ataku świadczy o kierunku strategicznego myślenia kraju, który nigdy nie doświadczył niszczycielskiej, totalnej wojny na swojej ziemi [7] – lecz spokojnie zastanawia się, jak ją rozpętać u innych. W Iraku zrozumieliśmy, że unilateralizm to także prawo do samowolnego przekształcania mapy świata. Świadczy o tym projekt Wielkiego Bliskiego Wschodu.

W drugiej połowie XX w., Stany Zjednoczone prowadziły wojnę chemiczną najdłużej ze wszystkich krajów demokratycznych. Między 1961 a 1971 r. zrzuciły na Wietnam czterdzieści milionów litrów „Agent Orange” (czynnika pomarańczowego) czyli trzysta trzydzieści sześć kilogramów dioksyny, bardzo toksycznej substancji, z którą Europa „zetknęła się” przy okazji katastrofy w Seveso [8]. Amerykańskie sądy zgodziły się niedawno na wypłatę odszkodowań amerykańskim żołnierzom, którzy ucierpieli od tej strasznej broni, lecz odmawiają tego prawa wietnamskim ofiarom.

MESJANIZM, MILITARYZM I PODWÓJNE STANDARDY

Czy wybory prezydenckie mogą zmienić tę sytuację? Hillary Clinton, Baracka Obamę i Johna McCaina, kandydatów, którzy wciąż pozostali w grze, łączą trzy rzeczy.

Po pierwsze – wciąż aktualna jest mesjanistyczna wizja Ameryki

(przy uwzględnieniu – w mniejszym lub większym stopniu – pewnych konsultacji ze sprzymierzeńcami). Nawet Obama, kandydat najbardziej wrażliwy na międzynarodowe reakcje, jako przewodniczący podkomisji do spraw europejskich w senackiej komisji spraw zagranicznych, nie prowadził żadnego przesłuchania. Indywidualizm, moralizm i poczucie własnej wyjątkowości, przepajające zarówno elity, jak opinię publiczną w USA, tłumaczą to wspólne przekonanie, że nikt nie ma prawa podważać czystości ich intencji. Ani słuszności ich definicji Dobra i Zła [9].

Źródłem strategicznego przejścia Waszyngtonu od doktryny odstraszania – czyli próby zachowania pokoju (obowiązującej przez cały okres zimnej wojny) – do doktryny wywoływania wojen, tzw. wojny prewencyjnej, jest właśnie opisane powyżej amerykańskie poczucie wyjątkowości. Stąd bierze się przekonanie, że bezpieczeństwo kraju nie może zależeć od nikogo i samo w sobie usprawiedliwia atak prewencyjny. Bezpośredni i morderczy atak na amerykańskie terytorium 11 września umocnił te postulaty. Jedynym psychologicznym hamulcem jest śmierć czterech tysięcy amerykańskich żołnierzy (która w wyborczej debacie znaczy więcej niż śmierć setek tysięcy Irakijczyków).

Drugi stały punkt programu kandydatów do Białego Domu to bezwarunkowa solidarność z Izraelem, która jeszcze bardziej osłabia możliwość trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. Sprzyjający „Wielkiemu Izraelowi” neoewangelikanie zapewniają poparcie 30% Amerykanów, a ich wpływ podwaja jeszcze tradycyjna rola społeczności żydowskiej [10]. W większości politycznych przemówień dotyczących świata muzułmańskiego pojawia się pojęcie islamofaszyzmu, jak gdyby islam miał wyłączność na przemoc i radykalizm [11]. Zresztą w amerykańskiej polityce bliskowschodniej stosuje się podwójne standardy. „Najważniejszym problemem Palestyny nie jest demokracja, lecz pokój z Izraelem... W tym wypadku, wybierając między pokojem a demokracją, bez wahania wybieram pokój.” [12]

– mówił doradca pani Clinton, Richard Holbrooke.

Jak się zdaje, tę uwagę można zastosować również do Iranu. Czyli jedyne go kraju w regionie, którego prezydent został wybrany pięćdziesięcioma pięcioma procentami głosów, kraju bardziej demokratycznego i mniej muzułmańskiego niż Arabia Saudyjska i mniej „nuklearnego” niż Pakistan czy Izrael. Prowokujące deklaracje Mahmuda Ahmadineżada nie mogą ukryć faktycznego powodu, dla którego Iran pragnie broni jądrowej. Wystarczy odwołać się tu do wojny z Irakiem (1980-1988), krajem-agresorem, ze wszystkich sił popieranym przez Zachód. W wyniku konfliktu poniosło śmierć od ośmiuset tysięcy do miliona Irańczyków, dlatego tak wielką rolę jeszcze dziś odgrywają byli żołnierze (czy to będą Pasdarowie – Strażnicy Rewolucji Islamu, czy Bonyad e Szahid – organizacja męczenników); użycie przeciw nim broni chemicznej nigdy nie zostało potępione przez kraje Zachodu. Iran jest otoczony przez siły supermocarstwa, które za punkt honoru postawiło sobie obalić jego ustrój (oddziały amerykańskie stacjonują w Iraku, w Afganistanie i w Zatoce Perskiej) i przez Pakistan, nowy kraj posiadający broń jądrową, tolerowaną przez Waszyngton. Czy w tych okolicznościach jakikolwiek odpowiedzialny polityk z Teheranu może wierzyć w gwarancje bezpieczeństwa dane przez Zachód?

Ostatnia wspólna cecha wszystkich kandydatów to skłonność do przeceniania środków militarnych i użycia siły. Budżet wojskowy USA na rok 2009 przekracza sześćset miliardów dolarów. Także poparcie amerykańskiej opinii publicznej dla użycia siły nie zna równego sobie, w USA wynosi ono 82%, w Europie 44% [13].

Dla strategów z Waszyngtonu, bez względu na ich polityczną orientację, inne niż amerykańskie przywództwo obrony światowego bezpieczeństwa jest nie do pomyślenia. To prawo moralne opiera się na wyższości militarnej – przewaga technologiczna i siła ognia prowadzą przeciwnika do klęski. Ograniczenia tej drogi widzimy dziś i w Iraku, i w

Afganistanie.

Można zadać sobie pytanie, czy amerykańska przewaga militarna w dziedzinie broni konwencjonalnej nie przyczynia się do rozpowszechniania broni nuklearnej. Po zwycięstwie NATO w Kosowie, indyjski szef sztabu stwierdził: „Nie można walczyć ze Stanami Zjednoczonymi bez broni jądrowej”. Jednocześnie wojna w Iraku, rosyjskie trudności w Czeczenii i izraelska inwazja w Libanie w 2006 r. pokazały ograniczoną skuteczność tradycyjnych typów broni i klasycznych strategii niszczenia. Tyle, że impas w Iraku, zamiast wzbudzić krytyczną refleksję, doprowadził do przyjęcia strategii prompt global strike, pozwalającej na uderzenie pociskami konwencjonalnymi w dowolny punkt na ziemi.

Stwarzanie sobie wrogów przez strategów i przez think tanki staje się metodą bardzo skuteczną. Lista potencjalnych wrogów w Strategii bezpieczeństwa narodowego, zredagowanej dla pani Clinton przez Center for American Progress [14], pokrywa się z analogiczną listą stworzoną przez neokonserwatystów. Najpierw znajdujemy na niej rywali w walce o przywództwo – Peer competitors – Chiny i Rosję. Interesujące, jak debata o spadku wartości dolara w stosunku do euro przekształciła się, dzięki wdziękowi amerykańskiej dialektyki, w debatę o spadku wartości chińskiego juana.

Wobec tych mocarstw przyjęto doktrynę containment (powstrzymywania) czy nawet wyparcia, na co wskazuje poparcie amerykańskich organizacji pozarządowych dla niektórych państw postradzieckich (Ukraina, Gruzja...). Lecz ryzyko wojny z mocarstwami posiadającymi broń nuklearną pozostaje niewielkie – strategia powstrzymywania długo jeszcze pozostanie tutaj w mocy. Następnie na liście znajdują się kraje „osi zła” (wśród których Iran zajmuje szczególne miejsce), a w końcu państwa szkodliwe, takie jak Syria, Wenezuela czy Kuba. W ich wypadku jednostronna interwencja amerykańska nie jest wykluczona, zwłaszcza w celu zrekompensowania sobie ewentualnej klęski w Iraku. Łatwa do wygrania wojna z drugorzędnym wrogiem stanowi

zawsze jakieś rozwiązanie dla upokorzonej armii, przykładem niech będzie inwazja Ronalda Reagana na Grenadę w 1983 r., po rewolucji irańskiej z 1979 r.

W przypadku Iranu, sprawa wygląda całkiem inaczej. Ryzyko ataku jądrowego istnieje, bo Waszyngton nie znosi trwałego oporu. Gdy Obama wykluczył możliwość użycia broni jądrowej wobec celów związanych z Al Kaidą i talibami w Afganistanie i Pakistanie, został natychmiast skrytykowany przez Hillary Clinton, która podkreślała że amerykański prezydent nie może odciąć się od opcji nuklearnej. Inny możliwy scenariusz konfliktu: wojna o kontrolę nad zasobami. Stany Zjednoczone importują więcej niż kiedykolwiek produktów bazowych i zasobów energetycznych, i ich niesamowystarczalność będzie się pogłębiać. W 2003 r., 66% zużycia ropy i 20% zużycia gazu pochodziło z produkcji krajowej. Dziś jest to już 47% i 18% [15]. Z drugiej strony, energetyczne potrzeby Indii (90% ich zużycia) i Chin (80%), zaopatrujących się głównie na Bliskim Wschodzie, są ogromne. Jak Waszyngton zareagowałby na embargo czy przejęcie części swoich zasobów przez jakąś potęgę regionalną (nową Organizację Krajów Eksporterów Ropy Naftowej) czy światową (Chiny w Afryce, Rosja na rynku ropy i gazu...)? Wejściem do rynkowej gry czy akcją zbroijną?

Czy jeśli (w przyszłości) pojawią się w Zatoce Perskiej chińskie czy indyjskie okręty wojenne, przybyłe, wedle przyjętej terminologii, „chronić swoje drogi zaopatrzenia”, zostanie to odebrane jako ingerencja czy jako wkład w światową stabilizację?

Żaden ze scenariuszy nie jest pewny. Lecz przemiana globalnego układu sił w system wielostronny otwiera, jak każdy etap przejściowy, okres destabilizacji. Fazy trwałego pokoju związane są z równowagą sił a nie z tym, czy demokracja w świecie rozwija się, czy wręcz przeciwnie. Podczas zimnej wojny, dla ustabilizowania sytuacji, kraje zachodnie podtrzymywały lub stwarzały dyktatury, takie jak rządy pułkowników w Grecji czy junty wojskowe w Ameryce Łacińskiej w

latach siedemdziesiątych. Z kolei okres światowego chaosu zaczyna się, gdy nowe potęgi realizują swoją wolę zmiany istniejącego porządku – jak w wypadku Niemiec kontestujących dyktat wersalski narzucony po 1918 r.; ludów skolonizowanych sprzeciwiających się kolonializmowi; czy wreszcie Pakistanu i Indii próbujących na drodze wojennej zmieniać kolonialne mapy.

Klasyczna strategia mocarstwa, amerykańskie dążenie do uprzedzenia ewentualnego pojawienia się konkurenta, nie jest jeszcze żadnym projektem międzynarodowego bezpieczeństwa. Kiedyś podwójne standardy stosowała potęga brytyjska – gdy ograniczała prawo rywala do posiadania floty sięgającej połowy tonażu eskadry Jej Wysokości. Dziś podobnie zachowują się Stany Zjednoczone. Fascynująca była przemowa sekretarza obrony Donalda Rumsfelda, gdy tłumaczył lokalnym władzom w Chinach, w listopadzie 2005 r., jak niepokojący jest fakt, że się zbroją. Tymczasem wydatki Chin na ten cel wynosiły najwyżej jedną szóstą budżetu Pentagonu.

Nie mniej zadziwiające jest ciągłe oskarżanie irańskich agentów o destabilizację sytuacji w Iraku – jak gdyby kilkaset tysięcy obecnych tam amerykańskich żołnierzy i sto pięćdziesiąt tysięcy najemników przyczyniało się do pokoju w regionie!

MIEJSCE I ROLA EUROPY

Mimo że Stany Zjednoczone nie są zagrożeniem, to jednak ich polityka stwarza pewne ryzyko. Francja i Europa powinny zastanowić się, jaki projekt polityki zagranicznej kryje się za wezwaniem do wzmocnienia roli NATO. Po Afganistanie, a zwłaszcza po Iraku, jaki kraj niezachodni (w sensie, w jakim Edouard Balladur i pięciu generałów definiują „zachodnią” solidarność) uważa, że działania NATO mają na celu stabilizację znajdującego się w kryzysie regionu?

A co leży w interesie Europy? Przede wszystkim budowa wielostronnego systemu międzynarodowego bezpieczeństwa,

uwzględniającego dobro wszystkich stron, a nie tylko prawo „zachodnich mocarstw” do zarządzania bezpieczeństwem całego świata. Przemoc i bezprawie, państwowe czy niepaństwowe, powinny zostać tak samo potępione. Izraelskie bombardowania, w których ponoszą śmierć Palestyńczycy, są tak samo nie do przyjęcia, jak zamachy terrorystyczne. Jeśli antyterroryzm przynosi więcej ofiar niż terroryzm, o czym to świadczy? To samo dotyczy porwań i nielegalnego przetrzymywania osób – tymczasem w wypadku FARC (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii) nazywa się to wzięciem zakładników, zaś jeśli chodzi o obóz w Guantanamó – „arbitralnym zatrzymaniem”. 23 lutego 2002 r., zostaje porwana Ingrid Betancourt. 27 lutego 2002 r. powstał Delta Camp w Guantanamó. Uwięzieni w owym czasie pierwsi afgańscy więźniowie do dziś nie zostali osądzeni...

Jeśli Europa chce być samodzielna, musi przestać przeglądać się w zwierciadle Ameryki. Przynajmniej w trzech zasadniczych sprawach powinna mieć odrębne stanowisko. Po pierwsze – jej polityka zewnętrzna nie może przekraczać granic „potęgi militarnej bez ambicji imperialnych”. To oznaczałoby pewną modyfikację jej stosunków z NATO, które pozostaje dziś jedynym na świecie systemem sojuszu wojskowego. Europejczycy zjednoczyli się w obliczu wojny w Iraku. Groźba wojny z Iranem niesie to samo ryzyko.

Po drugie – europejskie strategie ewentualnego użycia siły powinny różnić się od amerykańskiej, destrukcyjnej koncepcji i dążyć do neutralizacji. Po ostatnich konfliktach (Jugosławia, Kosowo, Timor, Afganistan...) Zachód zapłacił koszty rekonstrukcji infrastruktury, którą sam zniszczył. Może lepiej niszczyć jak najmniej i unikać przemiany „oswobodzonej” ludności we wrogów?

Ostatnia rzecz – Europa powinna mieć swój własny system oceniania kryzysów, nie powinna ciągle zdawać się w tej kwestii na amerykańskie opinie. Kłamstwa Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii opowiadane dla usprawiedliwienia wojny w Iraku powinny uświadomić nam, jak pilny jest to problem.

Wszystkie te kwestie rzadko pojawiają się w publicznej debacie, a przecież są dziś tak aktualne.

Autor: Pierre Conesa

Tłumaczenie: Anastazja Dwulit

Źródło: [„La Monde diplomatique” nr 4 \(26\) 2008](#)

PRZYPISY

1. Pour une Union occidentale entre l'Europe et les USA, Fayard, Paryż 2007.

2. Generał John Shalikashvili (USA), generał Klaus Naumann (Niemcy), admirał Jacques Lanxade (Francja), Lord Inge, (Wielka Brytania), generał Henk Van der Breemen (Holandia), „Towards a grand strategy for an uncertain world: renewing transatlantic partnership”;

http://www.csis.org/media/isis/events/080110_grand_strategy.pdf

3. Patrz str. 96-97, analiza prewencji związana z opcją nuklearną.

4. Revisiting NATO-ESDP relations. ESDP: European Disaster Relief Force.

[Home](#)

5. Balladur mówiąc o demokracji nie wspomina o Indiach, Japonii ani Korei Południowej.

6. Hubert Vedrine, Rapport pour le président de la République sur la France et la mondialisation, Paryż 2007. <http://www.hubertvedrine.net/publication/rapport.pdf>

7. Wojny secesyjnej 1861-1865 nie można porównać z II wojną światową.

8. Francis Gendreau, „Au Vietnam, l'agent orange tue encore”,

Le Monde diplomatique, styczeń 2006.

9. Patrz Pierre Hassner, „Etats-Unis: l’empire de la force ou la force de l’empire”, Cahiers de Chaillot, Paryż n° 54, wrzesień 2002 str. 26-27.

10. Patrz Emmanuel Todd, Après l’Empire, Folio, 2007 s. 145. Wydanie polskie Schyłek Imperium, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2003.

11. Patrz: „La violence au nom de Dieu”, Revue internationale et stratégique, Paryż, wiosna 2005.

12. Le Monde, 26 stycznia 2008.

13. Bruno Tertrais, Où va l’Amérique?, Fondation pour l’innovation politique, Paryż, październik 2007.

14. www.americanprogress.org

15. Patrz Emmanuel Todd , Après l’Empire, Folio, 2007 s. 145 i następne.